

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

BRÜHL, TOM PIERWSZY

Józef Kraszewski
Brühl, tom pierwszy

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843026

Brühl, tom pierwszy:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

I	4
II	25
Конец ознакомительного фрагмента.	56

Józef Ignacy Kraszewski

Brühl, tom pierwszy

I

Pięknym wieczorem jesiennym, o słońca zachodzie, ostatnie trąbki zwołujące myśliwych odzywały się w lesie z jodeł i buków starych złożonym. Szerokim gościńcem przerzynającym puszcę odwieczną, ciągnęły wielkiego dworu łowieckie oddziały, po bokach ludzie z oszczepami i sieciami; konni w zielonych sukniach ze złotymi galonami i kapeluszach z piórami czarnemi: środkiem strojne towarzystwo i wozy ze zwierzyną, zielonemi gałęziami umajoną. Łowy musiały pójść bardzo szczęśliwie, gdyż myśliwcy byli w wesołym usposobieniu i na wozach sterczały rogi jeleni, zwieszały się łby dzików z kłami zakrwawionemi.

Przodem widać było orszak pański, świetne stroje, piękne konie i kilka amazonek z różowemi twarzyczkami. Wszystko to przybrane było jak na uroczystość i galę, bo łowy najmiłszą stanowiły zabawę panującego naówczas, mniej więcej, szczęśliwie Saksonii i Polsce Augusta II.

Sam król wiódł łowy, a u boku jego jechał najmiłszy syn pierworodny, umiłowany naówczas Saksonii następca, na którym spoczywały nadzieje narodu. Król mimo wieku wyglądał jeszcze wspaniale i rzeźko, na koniu siedział rycersko, a

syn równie przystojny, z łagodniejszą nieco twarzą, niemal młodszym bratem się przy nim wydawał. Mnogi i świetny bardzo dwór otaczał dwóch panów. Zdązał na noc do niedalekiego Hubertsburga, gdzie syn ojca miał przyjmować, bo myśliwski zameczek ten do niego należał. W Hubertsburgu czekała na nich królewiczowa Józefa, synowa królewska, cesarskiego Habsburgów domu córa, niedawno młodemu Fryderykowi poślubiona. Dwór królewski był tak liczny, że mu się na zamku trudno było pomieścić. Zawczasu więc rozbito nieopodal namioty w gaju i tam miała noc spędzić znaczniejsza część pańskiego orszaku. Nakryte już były stoły do wieczerzy i w chwili gdy król wjeżdżał na zamek, rozpuszczone myślistwo poczęło sobie szukać wyznaczonych stanowisk. Mrok padać zaczynał: pod namiotami gwarno już było i wesoło; odgłosy młodzieńczych śmiechów, które przytomność króla i starszych hamowała, rozlegały się teraz swobodnie. Po znużeniu całodzienném chwytano za stojące flasze, choć marszałek nie dał jeszcze znać do stołu. Namioty dla dworu ocienione drzewami oświecały się zapalonemi latarniami; tuż obok przy improwizowanych żłobach ustawiano rżące konie, których głosy niekiedy wywoływały groźne klątwy masztalerzy. Nieznane sobie rumaki poczynały znajomość od kąsania i kwiku, klaskanie z batów pokój przywracało. Dalej jeszcze psiarnie króla dawały znać o sobie szczekaniem i warczeniem. Nakładano sfory; i tu też dozorczy mieli do czynienia aby wrzawę uśmierzać. Ale pod namiotami nie było nikogo, coby młodzieży śmiechy i śpiewy i

kłótnie śmiał powagą swą zahamować. Sprzeczano się jeszcze o najpiękniejszą twarz, o najlepszy strzał, o najpochlebniejsze Jego Królewskiej Mości słowo. Królewicz tego dnia był bohaterem: położył ze sztućca kulą w sam łeb trafiwszy odyńca, który wprost szedł na niego. Unoszono się nad przytomnością umysłu niezmierną i flegmą, z jaką celował długo i wypalił. Gdy myśliwcy przypadli na strzał chyżo, ażeby rozjuszoną bestyę dobić kordelasami, leżała już brocząc krwią ziemię. Król August pocałował syna, który rękę ojca a pana z uszanowaniem ustami dotknął i pozostał po zwycięztwie tak zimnym i spokojnym jak był przedtém. Jedyłą dobrego humoru oznaką było, iż na uboczu potém fajkę sobie podać kazał i dym puszczał daleko większemi kłębami niż zwykle. Wchodziła wówczas w używanie powszechnie roślina zwana *tobacco*, którą i Stanisław Leszczyński palić lubił, palił ją zapamiętale August Mocny, a namiętnie syn jego Fryderyk. Szczególniej przy męzkich ucztach i piwie, nie obeszło się bez fajek. Podawano je na dworze pruskim u króla czy kto chciał czy nie chciał, a jeśli komu dym zawadził koło serca, śmiano się zeń do rozpuku.

Należało do dobrego hulaszczego tonu fajkę ssać od rana do wieczora. Brzydziły się nią niewiasty, lecz ich wstręt nie odstręczał ówczesnych panów od przyjemnego upojenia, jakie owe *tobacco* przynosiło z sobą.

Bardzo młodym tylko zakazywano wczesnego nawyknięcia do tego trunku, który z kartami i winem razem, uchodził za niebezpiecznego uwodziciela.

Pod namiotami też fajek widać nie było. Znużeni jeźdźcy posiadawszy z koni, gdzie który mógł popadali na ziemię, na kobiercach, na kłodach i ławach. W zamku widać było zapalające się światła rzesiste i dźwięk muzyki dochodził do gaju, w którym rozłożony był dwór, służba i czeladź pańska. Nazajutrz miano polować w innym dziale lasów i wcześniej rozporządzono, by wszyscy byli gotowi. Nieco opodał od pozbieranych w gromadki starszych panów, na drodze wiodącej do zamku, jakby z chęcią dostania się do niego, przechadzał się piękny dwudziestoletni młodzieniec.

Po sukni łatwo było w nim poznać pazia przywiązanego do osoby króla JMci.

Zręczna bardzo, pięknej budowy, giętka, wyłamana, nieco niewieściego wdzięku postać, musiała nań najobojętniejsze zwrócić oko. Suknie na nim leżały, jakby się w nich urodził, peruczka, jakby w niej przyszedł na świat ufryzowany, nie potargała się nawet w czasie łowów, a z pod niej wyglądała twarzyczka, niby z mejszeńskiej porcelany¹, biała, różowa, niemal dziecięcej i dziewiczej piękności, z uśmieżkiem w pogotowiu na zawołanie, z oczyma bystremi, ale zostającymi na pana rozkazach. Mogły one w każdej chwili pogasnąć i zamilknąć, lub rozplomienić i wypowiedzieć nawet to może, czego w duszy nie było.

Śliczny ów młodzieniec pociągał jak zagadka. Kochali go

¹ *mejszeńska porcelana* – porcelana produkowane w Miśni (niem. Meissen) od 1710 r. [przypis edytorski]

niemal wszyscy, niewyjmując króla, a mimo to nie było grzeczniejszego, usłużniejszego, potulniejszego stworzenia na dworze. Nie starał się popisywać z niczém, nigdy, nikogo nie chciał nigdy zaćmić, a mimo to wezwany do jakiegokolwiek roboty, wywiązywał się z niej ze zręcznością, łatwością, prędkością i roztropnością nadzwyczajną.

Była to uboga szlachetka z Turynгии rodem, ostatni i najmłodszy z czterech braci Brühlów z Gangloffs-Sömmern. Ojciec jego na dworze malutkim w Weissenfels był jakimś mniejszym jeszcze radcą, pozbywszy pono ojczystego odłuzonego majątku, nie miał co zrobić z tym synem, zawczasu go więc oddał, aby się dworskiej trzymał klamki, księżnie wdowie Fryderyce Elżbiecie, mieszkającej najczęściej w Lipsku. Na ówczesne jarmarki do tego miasta zjeżdżały się dwory książęce; lubił je nadewszystko August Mocny i mówią, że na jedném z nich, młody paź ze swą miluchną, uśmiechniętą twarzą wpadł mu w oko. Księżna go chętnie królowi JMci ustąpiła.

Osobliwsza rzecz, że chłopak co takiego pańskiego, wspaniałego a pełnego etykiety dworu, nigdy w życiu nie widział a może i nie śnił, od pierwszego dnia wrodzonym instynktem wpadł na dobry tor i tak swą służbę zrozumiał, że starszych od siebie królewskich paziów gorliwością i zręcznością prześcignął. Król mu się wdzięcznie uśmiechał, bawiła go pokora chłopaka, który w oczy patrzył, myśli zgadywał, nie skrzywił się nigdy, a przed słonecznym majestatem króla Herkulesa i Apollina, padał

na twarz z uwielbieniem.

Zazdrościli mu służący z nim razem, lecz krótko przejednał ich dobrocią, łagodnością, skromnością i chętnem do usługi sercem. Nie obawiano się wcale aby takie niebożątko pokorne, mogło zajść wysoko. Ubogie też to było, a rodzina Brühlów, choć stara szlachecka, tak podupadła naówczas, że o niej spokrewnieni zapomnieli. Nie miał więc innego protektora nad tę swoją wdzięczną, miłą, uśmiechnioną twarzyczkę.

Ale do malowania był też ładny... kobiety, starsze zwłaszcza, patrzyły nań wdzięczącemi się oczyma, on swoje naówczas spuszczał zmieszany. Nigdy słówko złośliwe, ów dowcip paziowski, który za cechę młodzieży dworskiej uchodził, nie wyrwało się z ust jego. Brühl był z uwielbieniem dla pana, dla dostojnych dygnitarzów, dla pań, dla sobie równych i dla całej służby, i dla kamerlokajów królewskich, którym szczególnie poszanowanie okazywał, jak gdyby już naówczas znał tę wielką tajemnicę, że przez najmniejszych dokonywały się największe rzeczy, i że lokaje obalali cichuteńko ministrów, a ministrom trudno było ruszyć lokajów; wszystko to szczęśliwie obdarzonemu młodzieńcowi dyktował instynkt, jakim go uposażyła szczodrobliva matka-natura.

I w tej chwili gdy Henryczek (pieszczotliwie go tak zwykle nazywano) przechadzał się samotny po ścieżce do zamku od namiotów wiodącej, rzekłbyś że to czynił ażeby nikomu nie zawadzać, a wszystkim na oku będąc, stać do usług w pogotowiu.

Tego rodzaju ludziom szczęście dziwne służy... Gdy tak

bez celu się przechadzał, z zamku wybiegł młody, równie piękny chłopak, prawie rówieśnik co do lat, ale suknią i powierzchownością całę różny od skromnego Brühla.

Znać było po nim że siebie pewny, już nie wiele miał do życzenia. Słusznego wzrostu, mężny, zręczny, z oczyma czarnemi, bystro patrzącemi na świat, z postawą pańską, młodzieniec szedł żywo, jedną rękę założywszy za szeroką kamizelę wyszywaną bogato, drugą pod poły sukni myśliwskiej, galonowanej przepysznie. Peruka jaką miał na łowach, starczyła mu za kapelusz. Rysy jego twarzy porównane z miluchną Brühla, jakby malowaną przez włoskiego mistrza XVII-go wieku, miały zupełnie różny charakter. Pierwszy więcej był stworzony na dworaka, drugi na żołnierza.

Kłaniali mu się wszyscy po drodze, i witali go uprzejmie, był to bowiem od lat dziecinnych towarzysz i przyjaciel królewicza, najulubieńszy jego łowów współnik, małych tajemnic powiernik, hrabia Aleksander Sułkowski (syn nie mającego téż polskiego szlachcica), który paziem był wzięty niegdyś na dwór Fryderyka, a teraz domem i łowami zarządzał. Już to samo znaczyło wiele, że mu królewicz powierzył co miał najmilszego w świecie, bo polowanie dlań stanowiło nie zabawę i rozrywkę, ale całę zajęcie i najważniejszą pracę. Sułkowskiego szanowano i obawiano się razem, bo choć August II wyglądał przy swém zdrowiu i sile na nieśmiertelnego, prędzej lub później bóstwo to musiało skończyć jak najprostszy śmiertelnik. Z nowém słońcem wschodzącém i ta gwiazda na horyzont saski wnijsć musiała i przyświecać jej

swym blaskiem.

Na widok zbliżającego się Sułkowskiego, skromny paż królewski ustąpił z drogi, przybrał postać baranka, zgiął się nieco, uśmiechnął wdzięcznie i zdawał taką okazywać radość, jakby mu najpiękniejsza z bogiń dworu Augusta się ukazała. Sułkowski przyjął ten uśmiech i nieme, pełne poszanowania powitanie, z powagą ale z łaskawością razem. Z dała ręką wyjętą z za kamizeli potrząsł i nieco głowę uchylił, zwolnił kroku, zbliżył się i odwracając do Brühla, rzekł wesoło:

– Jak się masz Henryku! cóż tak samotnie rozmyślasz? Szczęśliwy, możesz odpoczywać, a ja tu za wszystko odpowiedzialny i nie wiem od czego począć, żeby o niczym nie zapomnieć.

– Gdybyś hrabia kazał mi sobie pomóc?

– A! nie, dziękuję ci; trzeba obowiązki swe spełnić! Dla takiego gościa jak nasz pan miłościwy, wszelki trud miły.

Westchnął zlekka. Cóż? polowanie się udało; ja, jak wiesz, nie mogłem być na niém, łowczego wysłałem z ekwipażami, w zamku tyle było przygotowań...

– Tak! polowanie się wybornie udało, N. Pan był w humorze, w jakim go oddawna nie widziano.

Sułkowski do ucha Brühlowi się pochylił: – Któż tam teraz w alkowie panuje? he?

– Doprawdy, nie wiem: mamy pono bezkrólewie?

– A! a! to nie może być! – zaśmiał się Sułkowski – Dieskau? nie...

– A! nie, to są dawno pogrzebione rzeczy... ja, nie wiem.

– Jakżebyś ty, paż królewski, nie wiedział?

Brühl spojrział nań z uśmiechem.

– Kiedy wszyscy wiedzą, pażowie wiedzieć niepowinni...

Myśmy jak tureccy *muets*², głusi i niemi.

– A! rozumiem – odparł Sułkowski – ale, między nami.

Brühl zbliżył się do ucha hrabiego i rzucił w nie słówko dyskretne, ciche, jak szelest listka spadającego z drzewa jesienią.

– *Intermezzo!*³ – rzekł Sułkowski.

Zdaje się że teraz po tylu wielkich dramatach, z których każdy tyle naszego drogiego pana kosztował boleści, pieniędzy i troski, już na *intermezzach* poprzestaniemy.

Sułkowskiemu pod namioty do których zdawał się kierować, widać już nie było pilno, ani na zamek z powrotem. Wziąwszy Brühla pod rękę, co pazia uszczęśliwiło widocznie, zamyślony, począł z nim przechadzkę.

– Mam chwilę wytchnienia – odezwał się – miło mi jój użyć w waszém towarzystwie, chociaż my oba jesteśmy pomęczeni tak, że i rozmowa być może trudem.

– O! ja nic a nic! – odparł Brühl – a wierz mi hrabio, dla was chodziłbym noc całą i nie czułbym się znużonym. Od pierwszej chwili gdy miał szczęście zbliżyć się do was,

² *muets* (fr.) – niemowy. [przypis edytorski]

³ *intermezzo* (wł.), – krótka wstawka o pogodnym lub komicznym charakterze wykonywana między aktami opery (np. opery seria); z czasem zrodziła się opera buffa. [przypis edytorski]

uczulem razem najwyższy szacunek, i jeśli mi się godzi to powiedzieć, najżywszą, najgłębszą przyjaźń. Przyznać się mam? ale prawdziwie żem się po tej dróżynie wybrał przechadzać z jakimś przecuciem, z nadzieją, że was choć z dala zobaczę i pozdrowię, a tu mię spotyka szczęście takie.

Sułkowski spojrział na uradowaną, rozjaśnioną twarz i ścisnął podaną rękę.

– Wiercież mi – odezwał się – iż nie trafiliście na niewdzięcznika: na dworze przyjaźń taka bezinteresowna jest rzadka, a wzięwszy się za ręce we dwóch, daleko zajść można.

Oczy ich się spotkały, Brühl skinął głową.

– Wy jesteście przy królu i w łaskach.

– O! o! – odparł Brühl – nie pochlebiam sobie.

– Ja wam zaręczam! słyszałem to z ust własnych Najjaśniejszego Pana, chwalił waszą usłużność i rozum. Wy jesteście w łaskach lub na drodze do nich... to od was zależy.

Brühl nader skromnie złożył ręce.

– Nie pochlebiam sobie.

– Ja wam mówię – powtórzył Sułkowski – ja mam serce Fryderyka, mogę się pochwalić tém, że mnie przyjacielem nazywa. Sądzę że nie obszedłby się bezemnie.

– Wy, to co innego – przerwał Brühl żywo – mieliście to szczęście towarzyszyć od najmłodszych lat królewiczowi, mieliście czas pozyskać jego serce, a któżby się nie przywiązał do was, zbliżywszy!! Co do mnie, obcy tu niemal jestem.

Winienem łasce księżnej że mnie przy boku J. K. Mości

umieściła; staram się wdzięczność moją okazać, ale na ślizkiej posadzce dworu jakże to utrzymać się trudno. Im więcej gorliwości dla pana okażę, którego czczę i kocham, tém na większą zazdrość zarabiam. Każdy uśmiech pański opłaca się wejrzeniem jadu pełném. Gdy człowiek mógłby być najszcześliwszym, musi drżać.

Sułkowski słuchał roztargniony.

– Tak! to prawda – rzekł cicho – lecz wy macie wiele za sobą i obawiać się nie macie powodu. Uważałem na was, metodę przyjęliście przedziwną: jesteście skromni i macie cierpliwość. Na dworze dosyć jest ustać w miejscu, to się posunie mimowoli, a kto się nazbyt rzuca, ten najłatwiej pada.

– A! czerpię najdroższe rady z ust waszych! – wykrzyknął Brühl – co za szczęście mieć takiego przewodnika.

Sułkowski zdawał się za dobrą monetę brać ten wykrzyknik przyjaciela i z niedostrzeżoną dumą uśmiechnął się: pochlebiało mu uznanie tego, o czém był w głębi duszy najmocniej przekonany.

– Nie lękaj się Brühl – dodał – idź śmiało, a rachuj na mnie.

Wyrazy te zdał się w najżywsze zachwycenie wprawiać młodego Henryka, złożył ręce jak do modlitwy, twarz jego błyskała radością, spojrzał na Sułkowskiego i zdawał się tylko wahać, czy mu się do nóg nie ma rzucić.

Wspaniałomyślny hrabia z protekcyjonalną dobrocią uściskał go.

W téj chwili na zamku zabrzmiały trąby: był to jakiś znak

zrozumiały znać dla młodego faworyta, który tylko ręką dawszy znak towarzyszowi że pośpieszać musi, rzucił się krokiem żywym ku zamkowi.

Brühl pozostał sam, wahał się trochę co począć z sobą. Król go od służby wieczornej uwolnił, i pozwolił mu spocząć tego wieczoru, miał więc swobodę zupełną. Pod namiotami rozpoczynała się wieczerza dla dworu. Chciał zrazu pójść i razem z innemi się zabawić, potem z dala popatrzywszy, w bok się skierował zadumany ścieżyną w głąb lasu idącą, poszedł wolnym krokiem. Chciał być może sam na sam z myślami, choć wiek jego i twarzyczka o głębokie rozmyślenia posądzić go nie dozwalały. Prędzójby na ówczesnym dworze, pełnym miłostek i intryg kobiecych, o jakąś serdeczną chorobę podejrzyc się godziło. Ale na spokojnej wielce twarzy niewidać było troski sercowej, która się maluje na niej, łatwemi do poznania symptomatami. Brühl nie wzdychał, patrzył chłodno, brew miał namarszczoną, usta zacięte, prędzój rachował coś i kombinował niż z uczuciem walczył.

Zadumany tak głęboko, pomiął namioty, konie, psiarnie, rozłożone ogniska ludzi spędzonych dla łowów, którzy się z toreb dobytym chlebem z sobą posilali, gdy obok piekły się dla panów jelenie i warzyły korzenne polówki. Około dwóchset do obławy spędzonych Wendów gwarzyło cicho, w języku niezrozumiałym, nieśmiejąc nawet głośniej się rozśmiać. Z namiotów dolatywały ich wesołe okrzyki, spoglądali i im tam szumiano głośniej, tém oni starali się ciszej sprawować. Łowczych kilku czuwało

nad tą gawiedzią, która sobie chleb swój z domów przynieść musiała, bo o niej jednej na zamku nie pamiętano. Dla psów gotowano w kotle strawę, o nich nikt się nie kłopotał. Prędko też skończyli wieczerzę o chlebie i wodzie. Większa część już się pod drzewami na trawie kładła, aby do rana snem się pokrzepić. Brühl ledwie na nich okiem rzuciwszy, poszedł dalej. Wieczór był piękny, spokojny, ciepły, jasny i gdyby nie opadające liście żółte starych buków, wiosnęby przypominał. W powietrzu woń lasów zdrowa, zapach uwiędłej zieleni, wyziewy jedlin, unosiły się lekkim wietrzykiem, który ledwie gałązki poruszał.

Za gajem w którym obozowano, panowała już cisza, samotność, pustynia, gwar tu zaledwie dolatywał, drzewa zasłaniały zamek, można się było sądzić daleko od ludzi.

Brühl podniósł głowę i wolniej odetchnął, twarz, której układać nie potrzebował dla ludzi, jakby na wolność puszczona, przybrała wyraz nowy; lekki, sardoniczny uśmiech przebiegł po niej i dziecięcy ów dobroduszny, łagodny wdzięk straciła. Jedną ręką podparł się w bok, drugą do ust przyłożył, zadumał. Sądził się tu zupełnie sam, lecz jakież było jego zdumienie i niemal przestach, gdy o kilka kroków, pod ogromnym bukiem starym, spostrzegł dwie postacie jakieś, nieznanne, dziwne, podejrżane. Mimowoli się cofnął krok i począł pilniejszypatrywać. W istocie o kilkadziesiąt tylko kroków od królewskiego obozu, wyglądało dziwnie, podejrżanie nawet tych dwóch ludzi siedzących pod drzewem. Obok nich widać było leżące kije podróżne i dwie torebki z ramion tylko co zdjęte.

Mrok wieczorny nie dawał dobrze rozeznąć twarzy, ani ubiorów; lecz Brühl domyślił się raczej niż zobaczył, skromnie po podróżnemu przybranych, dwóch młodych jak on sam ichmościów.

Wpatrzywszy się pilniej dostrzegł twarzy nieco, które zdały mu się szlachetniejszych rysów, niż wędrowniej rzemieślniczej czeladzi, za którą zrazu ich wziąć miał ochotę. Po cichu toczyła się rozmowa, ale dosłyszec jej nie mógł.

Lecz cóż tu, pod bokiem króla, ci podróżni na ustroniu robić mogli? Ciekawość, obawa, nieufność, nie dozwoliły mu odejść. Zamyślił się czyby nie należało dać znać do namiotów.

Więcej potem instynktem niż rachubą wiedziony, przyspieszył kroku i stanął tak, że go siedzący na ziemi zobaczyć mogli. Ukazanie się jego musiało nieco zdziwić spoczywających, gdyż jeden z nich wstał spiesznie i przypatrując się przybyłemu, chciał jakby spytać, co tu robi i czego od nich chcieć może?

Brühl nie czekał tego pytania, podszedł kilka kroków i odezwał się tonem dosyć surowym:

– Co tu waszmość robicie?

– Odpoczywamy – odezwał się siedzący na ziemi. Czy zakazany jest tu spoczynek podróżnym?

Głos brzmiał łagodnie, a język zapowiadał wykształconego człowieka.

– O kilkadziesiąt kroków dwór N. Pana i sam król.

– Czybyśmy mieli zawadzać? – dodał znowu siedzący, wcale nie zdając się strwożonym.

– Ale waszmość sami sobie najszkodliwsi być możecie – odparł Brühl żywo. Lada kto z łowczych może was tu odkryć i posądzić o jakie złe zamiary.

Śmiechem łagodnym odpowiedział na to spoczywający na ziemi i wstał, a wyszedłszy z cienia drzew, ukazał się Brühl'owi jako pięknej i szlachetnej postawy młodzian z długimi włosami na ramiona spadającymi. Po jego stroju poznać w nim było łatwo studenta jednego z niemieckich uniwersytetów. Nie miał on żadnych oznak na sobie, ale prosta suknia, długie buty, z kieszeni wyglądająca książka, czapeczka jaką nosili **studiosi**⁴, dostatecznie go cechowała.

– Co waszmość tu robicie? – powtórzył Brühl.

– Wyszliśmy na wędrowkę, aby Bogu oddać cześć w naturze, aby odetchnąć powietrzem lasów, ciszą ich ukołysać duszę do modlitwy – począł powoli młodzieniec. Noc zaskoczyła nas tutaj: o królu, o dworze nie wiedzielibyśmy nawet, gdyby nas tu nie doszła wrzawa łowiecka.

I wyrazy i sposób w jaki je wymawiał stojący przed nim, uderzyły Brühla. Człowiek to był z innego jakiegoś świata.

– Pozwolisz pan – dodał spokojnie student – iż jako zapewne władzę tu jakąś mającemu, zamelduję osobistość moją. Jestem Mikołaj Ludwik hrabia i pan na Zinzendorfie i Pottendorfie, a w tej chwili *studiosus*, szukający źródła mądrości i światła, zbłąkany na manowcach świata wędrowiec.

Skłonił się.

⁴ *studiosus* (łac.), lm. *studiosi* – uczeń. [przypis edytorski]

Usłyszawszy nazwisko, Brühl popatrzył uważnie. Światło wieczora i lekki blask księżyca wschodzącego opromieniły piękną twarz mówiącego.

Stali przez chwilę niemi, jak gdyby oba nie wiedzieli jakim do siebie mówić językiem.

– Ja jestem Henryk Brühl, paż do osoby J. K. Mości przywiązany.

Skłonił się lekko.

Zinzendorf zmierzył go oczyma.

– A! bardzo mi was żal! – westchnął.

– Jako żal? dlaczego? – zapytał zdumiony paż.

– Dlatego że dworactwo to niewola, że paziostwo to służba i chociaż szanuję pana naszego, milój mi sercem i duszą poświęcać się czci i służbie Pana na niebiosach, Pana nad pany, a miłością zatapiać w Jezusie Chrystusie Zbawicielu. Właśnie pan znalazł tu nas na cichój modlitwie, gdyśmy myślami usiłowali zjednoczyć się z Panem naszym, który nas krwią swą odkupił.

Brühl tak był zdziwiony, że krok odstąpił jakby się obłąkanego uląkł w młodzieńcu, który z wielką słodyczą, ale bardzo patetycznie wymówił te wyrazy.

– Wiem – dodał Zinzendorf spokojnie – iż się to wydać wam musi, wam co macie w uszach jeszcze szczebiotanie i śmiechy dworskie, dziwném i nieprzyzwoitém może; ale ilekroć myślą pobożną uda się zakołatać do serca chrześcianina uspionego, jakże tego nie dopełnić?

Brühl stał niemy.

Zinzendorf zbliżył się doń.

– To godzina modlitwy... słuchaj pan, lasy szumią chór wieczorny: chwwała Panu na wysokościach! strumień szemrze pacierze, księżyc wszedł przyświecać nabożeństwu natury, a serca nasze nie miałyby się połączyć ze Zbawicielem w tej uroczystej chwili.

Ośłupiały paż słuchał i nie zdawał się rozumieć.

– Widzisz pan przed sobą dziwaka – dodał Zinzendorf – lecz czyż światowych dziwaków mało spotykasz i przebaczasz im, a nie miałbyś pobłażyć z gorącego ducha płynącemu zachwyceniu?

– Prawdziwie – szepnął Brühl – ja sam jestem pobożny, lecz...

– Lecz zapewne chowacie pobożność waszą na dnie serca, lękając się by ją ręka, słowo profanów nie tknęło? Ja ją wywieszam jako chorągiew, bom gotów bronić jej życiem i krwią moją.

Bracie w Chrystusie – rzekł zbliżając się doń Zinzendorf – jeśli ci zaciężyło życie w ukropie i wirze tego dworu, bo inaczej sobie nie tłumaczę wieczornej waszej przechadzki samotnej, siądź tu spocząć z nami, razem się pomódlmy. Ja czuję w sobie pragnienie modlitwy, a we dwóch, we trzech spotęgowana bratersko, może dolecieć do tronu Tego, który dla nas robaków dał krew swoją.

Bracie!

Brühl jakby się zląkł, ażeby go nie zatrzymano, cofnął się nieco.

– Zwykłem się modlić sam – rzekł – a tam powołują mnie obowiązki, więc darujecie mi.

Wskazał ręką w stronę, od której gwar ich dochodził.

Zinzendorf stał.

– Żal mi was – zawołał – gdybyśmy tu pod tém drzewem zanucili pieśń wieczorną: Bóg nasza twierdza, Bóg nadzieja nasza...

– Naówczas – dorzucił paż – posłyszałyby to w. łowczy, lub który z podkomorznych króla i nie zamknęliby nas do kordegardy, bo tu jój niéma, aleby odprowadzili do Drezna pod Frauenkirche i osadzili na odwachu.

To mówiąc ruszył ramionami, skłonił się lekko i chciał iść, ale Zinzendorf zastąpił mu drogę.

– Czy istotnie wzbroniono się tu znajdować? – zapytał.

– Może to was podać w podejrzenie i na nieprzyjemności narazić. Życzę się oddalić. Za Hubertzburgiem jest wieś i gospoda, która da wygodniejszy nocleg, niż pień bukowy.

– Którędyż iść mamy, aby nie wnijsć w drogę N. Panu? – zapytał Zinzendorf.

Brühl wskazał ręką i już odchodził.

– Wyminąć gościniec będzie dosyć trudno, panie hrabio; lecz jeśli wam służyć mogę wyprowadzając pod moją opieką na drogę: służę.

Zinzendorf i milczący jego towarzysz pobrali prędko węzełki swe i kije i pośpieszyli za Brühlem, który wcale się nie zdawał rad temu spotkaniu. Zinzendorf miał czas nieco ochłonać z ekstazy,

w jakiej go Brühl niespodziewanie się zjawiając zastał. Widać w nim było człowieka wyższego towarzystwa i przyzwoitego w obejściu. Ostygłszy zupełnie, przeprosił nawet za to że się tak dziwacznie odezwał.

– Nie dziwuj się pan – rzekł zimno – nazywamy się wszyscy chrześcianami i synami Bożemi, a w istocie poganami jesteśmy mimo obietnic na chrzcie uczynionych. Obowiązkiem więc każdego nawracać i apostołować, ja sobie z tego czynię życia zadanie. Cóż po nauce w słowach, gdy jój niema w czynach? Katolicy, protestanci, reformowani, wszyscy, wszyscy żywotem poganami jesteśmy. Bogów nie czcimy, bo ołtarzów ich nie ma, ale im składamy ofiary.

Kilku księży sprzecza się i plwa na się o dogmata, a Zbawiciel na krzyżu krwią opływa, która w ziemię wsiąka nadaremnie, bo nią ludzie zbawionemi być nie chcą.

Westchnął.

W téj chwili gdy kończył uroczyste wyrazy, ukazał się obóz i buchnęła zeń wrzawa od kufli, które spełniano z hałasem. Zinzendorf z przerażeniem spojrzął.

– Nie sąż to bachanalia, tylko co nie słyszę Evoe! – zawołał – idźmy prędzej, przybity się czuję do ziemi i upokorzony.

Brühl przodem idący nie odpowiedział nic. Tak wyminęli obóz, idąc bokiem wskazał im blizki gościniec, a sam jakby coperędzej się chciał uwolnić od towarzystwa tego, skoczył żywo ku oświeconemu namiotowi.

Jeszcze w uszach brzmiały mu dziwaczne wyrazy

Zinzendorfa, gdy widok osobliwszy oczom się jego w namiocie przedstawił. Wprawdzie w owych czasach i na tym dworze nie był on tak bezprzykładnym, aby miał zdumiewać, wszakże mało kto okazywał się publicznie w takim stanie, w jakim Brühl zastał pana radzcę wojennego Pauli.

Radzca leżał w środku namiotu na ziemi, ogromny gąsior próżny, rozbity obok niego, obie ręce rozkrzyżowane, twarz karmazynowa, suknie porozpinane, podarte, a wielki pies gończy, znać faworyt pański, siedząc nad nim lizał mu oblicze i skowyczał...

Stojący wkoło śmieli się do rozpuku.

Radzca wojenny Pauli, który obowiązany był zawsze znajdować się pod ręką króla dla mnogich korespondencyj, które po trzeźwemu i po pijanemu nawet z kancelaryjną wprawą bardzo zręcznie redagował: nie poraz piérwszy tak nieszczęśliwie zwyciężonym został od gąsiorka. Trafiało mu się często w miękkim łóżu i pod ławą i przy ścianie spoczywać po libacyach, ale tak skandalicznie jak dziś na pośmiewisko być wydanym... przechodziło miarę.

Brühl zaledwie to spostrzegł, rzucił się ku nieszczęśliwemu i zajął się dźwignięciem go z ziemi. Drudzy opamiętawszy się dopomogli i z niemałym wysiłkiem udało się pana radzcę usunąć z przed oczów, składając go na posłanie z siana, które było przygotowane w kącie. W chwili gdy go we trzech ruszono z ziemi, obudził się Pauli, powłókł oczyma po bliższych twarzach i wybełkotał:

– Dziękuję ci, Brühl... ja wszystko wiem, rozumiem, pijany nie jestem... tak, mdłości. Ty jesteś wcale dobry chłopiec: dziękuję ci Brühl.

To mówiąc powieki przymknął, westchnął ciężko, mruknął:

– Ot to służba!! i usnął.

II

Na zamku królewskim paziowie przyboczni Augusta II-go mieli wyznaczone pokoje, w których, oczekując rozkazów, na służbie czuwali. Konie dla nich, na przypadek, gdyby który miał być wysłany, zawsze stały w pogotowiu. Mieniali się u drzwi i w przedpokojach, towarzyszyli N. Panu, a często, gdy się inni starsi pod ręką nie znaleźli, z rozmaitemi pismami i rozkazami wyprawiani bywali. Gorliwie bardzo utrapioną tę służbę pełnił młody Brühl, sprawiał ją z kolei za siebie, a nawet chętnie za drugich, tak, że król często go mając na oczach, przyzwyczajają się do twarzy i usługi.

– A ty tu znowu, Brühl? – zapytywał z uśmiechem.

– Na rozkazy W. K. Mości.

– Nie przykrzy ci się?

– Najszczęśliwszy jestem, będąc dopuszczonym do oglądania oblicza pańskiego.

I kłaniał się młody chłopak, a K. J. Mość po ramieniu go klepał.

Nigdy odpowiedzi nie był dłużnym, nigdy nic dlań trudnym ani niepodobnym nie było; w skok biegł i sprawiał co kazano, niezwłocznie. Dnia tego przychodziły kresy i odprawiać miano odpowiedzi; oczekiwano na nie od rana. Często się naówczas poczty opóźniały, bo lub koń padł, albo rzeka wylała, lub pocztylion zachorzał, nie było więc czasu oznaczonego ściśle.

Od rana radca wojenny Pauli, który królowi depesze redagował, czekał na kresy i rozkazy.

Z razu bardzo cierpliwie.

Radca, którego nieszczęśliwy wypadek w Huberstburgu widzieliśmy, przespał się potem, obmył i wstał, nie czując nic więcej, nad doskwierające pragnienie.

Wiedział on, że matka natura podstępem go zażywała, aby do napicia się wody nakłonić, ale wodzie poprzysiągł był od dawna wstręt i pogardę i mawiać zwykł, że Pan Bóg stworzył ją dla gęsi nie dla ludzi. Nie dał się więc złudzić pragnieniem i zalał robaka winem: zaraz mu się lepiej i raźniej zrobiło, a wkrótce potem przeszła choroba owa i zostało po niej tylko mętne wspomnienie.

Zapamiętał wszakże radzca, że Brühl go ratował w owiej dobie nieszczęśliwej i złożył na posłaniu, a zawiązała się od tego czasu przyjaźń czuła pomiędzy starym Pauli a młodym paziem.

Brühl, który nie gardził niczyją łaską, przywiązał się do radzcy. Człowiek to był niemłody już, okrutnie służbą ciężką około dzbana zmęczony, przytém niepomiernie otyły, co mu ruchy utrudniało; nogi nie bardzo już służyć chciały, a po obiedzie, gdy tylko mógł, natychmiast, bodaj stojąc, drzemać był gotów. Twarz Paulego była rumiana, wpadająca w fioletową, rysy rozlane, podbródek zawieszisty. Ręce, nogi i on wszystek wydawał się jak nabrzękły.

Wszakże gdy się wystroił do dworu, pozapinał, wyprostował i przybrał urzędową postać, można go było wziąć za poważnego bardzo człowieka. Do króla tak był nawykł, a król do niego, że z

jednego słowa, bo z wejrzenia Augusta, wysnuwał cały list, myśl odgadł, formę trafił i nigdy sprostowywać jej nie potrzebował król J. M. Dlatego Paulego lubił bardzo i potrzebował go zawsze, a chciał mieć pod ręką; dlatego radzcy wspaniałomyślnie przebaczał, jeśli się nawet zapił, zalał i w chwili ważnej nie mógł dźwignąć.

Naówczas trzech pokojowców budzić go musiało, a radzca nie otwierając oczów, przewracany po łóżku, odpowiadał: „zaraz! natychmiast! Oto jestem! w ten moment!” Ale nie wstał aż mu wyszumiało, co przebrał.

Gdy otrzeźwiał, mył się wodą zimną, podawano mu dla rozjaśnienia myśli kieliszek czego mocnego i szedł do króla.

Podobne rzeczy trafiały się wówczas nie jemu jednemu, upijał się przyjaciel królewski Flemming, ba i innych wielu. Śmiano się z tego, choć słabą mieć głowę za srom wielki uchodziło.

Tego dnia, gdy właśnie na kresy, jakéśmy mówili, czekano, radzca Pauli siedział w marszałkowskiej sali i ziewał. Dobrał sobie wygodne krzesło szerokie, nogi wyciągnął, ręce na żołądku spiał, głowę nieco spuścił, wygodnie ją na fundamentach rozłożystych podbródków umieściwszy i dumał. O śnie mowy być nie mogło, bo któż może zasnąć na czczo i nieprzygotowany wiatykiem stosownym na podróż z Morfeuszem po krajach marzeń?

Obrazy pozawieszane w salce, dawno mu były znane, nie mógł się więc im przypatrywać. Ziewał niekiedy, a ziewał tak okropnie, że mu w szczękach trzaskało.

Był to widok serca rozdzierający. Radzca taki poważny, zasłużony, zmuszony ziewać na czczo.

Zegar ukazywał z razu dziesiątą, potem jedenastą, a radzca siedział, poziewał i strząsał się, bo po nim dreszcze czczości przebiegały. Był w tej chwili najniezwyklejszym z ludzi.

W tej samej sali kręcili się paziowie, podkomorzowie, szambelanowie, osoby na posłuchanie oczekujące, lub powracające od króla. Nikt nie śmiał spoczynku przerywać panu radzcy.

O jedenastej wszedł młody Brühl, który na swą godzinę służby czekał. Pięknym był, jak cherubin w swoim stroju paziowskim z wielką elegancją włożonym. Twarz mu się jak zwykle śmiała dobroduszością i grzecznością nadskakującą; nikt nad niego nie miał kształtniejszej stopy, piękniejszej nogi, świeższych koronek przy mankietach, lepiej leżącego fraka i wytworniej ufryzowanej peruczki. Oczy mu się śmiały, biegając po twarzach i po ścianach. Czarodziej prawdziwy ujmował uśmiechem, słowem i ruchem, całą postawą. Zoczywszy go, radzca, nie wstając wyciągnął doń rękę.

Brühl podbiegł chyżo.

– Jakżem szczęśliwy! – zawołał.

I skłonił się z pokorą.

– Chyba ty mnie uratujesz! Brühl! Wystaw sobie jestem na czczo!

Kiedy przyjdą kresy?

Paż spojrział na zegar i ramionami ruszył.

– *Chi lo sa?*⁵ – odparł tym językiem, który obok francuzkiego, był niemal dworu mową, bo się już wówczas powoli włoska kolonia zwiększała w Dreźnie.

– Jedenasta! a ja na czczo! natura dopomina się praw swoich! Przyjdzie z głodu umierać!

To mówiąc, radzca ziewnął, wstrząsnął się cały – Brr! – i strzepnął.

Brühl stał niby zamyślony, pochylił się wygięty cały do ucha Paulemu:

– Radzco, *est modus in rebus!* dlaczego zasiedliście, jakby na publicznej drodze? Obok jest pokój, z którego drzwi wychodzą na kurytarz wiodący do kuchen i kredensów, tamby wyśmienicie, nim co będzie, można coś kazać podać z kuchni, i coś z piwnicy.

Oczy się rozśmiały pocziwemu radzcy, ruszył się zaraz, ale niełatwo mu było powstać. Obu rękami musiał się zeprzść na poręczach, łokcie podnieść do góry i stękając, całą swą ciężką figurę dźwignął nareszcie.

– Zbawco mój! – zawołał – ratujże mnie nieszczęśliwego!

Brühl skinął i wsunęli się we drzwi poboczne do gabinetu o jedném oknie. Tu! o cudo! jakby się spodziewano Paulego, czarodziejska jakaś siła, stół już wcześniej przygotowała. Stało przed nim krzesło szerokie, wygodne, jakby do tuszy Paulego zrobione; na białym, jak śnieg obrusie, zastawione porcelanowe, białe z siném nakrycie, maleńka wazka, maleńki półmisek z pokrywą i spory gąsiorek złocącego się wina.

⁵ *Chi lo sa?* (wł.) – Kto wie? [przypis edytorski]

Radzca zobaczywszy to, ręką zrobił ruch w powietrzu, i jakby się obawiając, aby go kto nie uprzedził, nie pytając, co rychléj zajął miejsce, serwetę pod brodę założył, ręką sięgnął do wazki i dopiero, przypomniawszy sobie Brühla, odwrócił się.

– A wy?

Paż głową potrząsł. – To dla was, kochany panie radzco!

– Niech ci płacą bogowie! – zawołał w uniesieniu Pauli, – niech ci Wenus da najpiękniejszą z dziewcząt drezdeńskich, niech ci Higeia da żołądek, trawiący kamienie; niech ci Bachus da wiekuiste pragnienie i środki zaspokajania go węgrzynem: niech ci...

Ale jedzenie nie dało mu dokończyć, pogrążył się w niém cały. Brühl stał, jedną ręką o stolik oparty, w postawie wdzięcznej, przypatrując się radzcy z uśmiechem. Pauli nalał sobie pierwszą wina szklanke. Spodziewał się on lekkiego, powszedniego węgrzynka, jakim dwór raczono; lecz gdy do ust wziął i pociągnął, twarz mu się rozjaśniła, rozpromieniła, oczy zabłyśły, a wypiwszy i opadłszy na poręcz, w błogiem uspokojeniu pogładził się po piersiach tylko. Anielski uśmiech usta mu przeleciał.

– Bozki napój! Cudotwórco mój, zkądżeś go wziął? Ja go znam, to wino królewskie, to tokaj; powąchaj, posmakuj: ambrozja, nektar!

– Niechże radzca zaszczyci go swą łaską i gąsiorkowi nie daje wysychać lub pójść na usta profanów, którzy go nie smakując, przez gardła przeleją.

– A byłoby to istną profanacją! – zawołał radzca, nalewając drugi kielich, równający się dobrej szklanicy. – Za zdrowie wasze, za powodzenie wasze. Brühl... będę ci wdzięczny do śmierci: ocaliłeś mi życie. Jeszcze pół godziny, a trupaby ztąd wynieśli na Frydrychstadt. Czułem, jak życie uchodziło ze mnie.

– Bardzo się cieszę – rzekł Brühl – że mogłem tak małym kosztem pamięci trochę, przysłużyć się panu radzcy, ale proszę pić!

Pauli wychylił drugi kielich, językiem o podniebienie plasnął, ręką począł w powietrzu, jakby lot ptaka naśladować i rzekł:

– O! co za wino, co za wino! to jest tego rodzaju napój, że każdy następny kieliszek, coraz lepiej smakuje. Jest ono, jak dobry przyjaciel, którego im bliżej poznajemy, im w ściślejszy z nim wchodzimy związek, tém się więcej przywiązujemy do niego.

Ale Brühl, kochany Brühl, jeśli nadejdą depesze, jeśli N. Pan zawoła, jeśli będzie trzeba koncypować list do Berlina lub do Warszawy, albo do Wiednia...

Odwrócił głowę z pytaniem, ale trzeci kieliszek nalewał.

– Panie radzco, taki jeden gąsiorek dla pana? Cóż to jest? To tylko *exhilaracya* niewinna, to *stimulans*⁶, to... nic.

– Masz słuszność, Brühl; nie takie się już rzeczy o nasze głowy obijały. Zaśmiał się radzca. Najgorsza rzecz mieszać trunki. Któż może wiedzieć, w jakich one są z sobą stosunkach? Trafi się nieprzejednany wróg, naprzykład austriackie wino

⁶ *stimulans* (łac.) – pobudzanie, stymulowanie. [przypis edytorski]

z francuzkiem: zaczynają iść na udry w żołądku i głowie, a człowiek pokutuje. Ale gdy się pije jedno uczciwe, rozumne, dojrzałe wino, nie ma niebezpieczeństwa: gospodaruje sobie w człowieku spokojnie i nic złego nie uczyni.

To mówiąc radzca jadł mięso przypieczone i oblane sosem zawiesistym, a coraz tokajem popijał i uśmiechał się. Brühl stał, patrzył, a gdy kielich się wypróżniał, wziął na się podczaszostwo i dolewał pilno.

Naostatek z talerzy było jak zmieciono, chleb znikł, zostało tylko pół gąsiorka wina.

Pauli wzdychał patrząc i mruzczał:

– A depesze?

– Lecz czyż pan się może lękać?

– Masz słuszność, gdybym się lękał byłbym tchórzem, a nie ma nic nikczemniejszego w świecie nad to stworzenie. Nalewaj: za twe zdrowie! Dojdiesz wysoko!

W głowie mi się jaśniej robi! Zdaje się że słońce wyszło z za chmur, bo teraz mi dopiero weselszém się wszystko wydaje. Czuję się w werwie do stylizowania i utnę coś porządnego. E! gdyby mi dziś co solonego król pisać dał!! e! e! to bym dopiero przyprawił!

Brühl ciągle naléwał.

Radzca patrzył na gąsiorek który u dołu był szerszy i jeszcze na czas jakiś starczyć obiecywał.

– Nie mam się czego lękać – przemówił Pauli jakby dla uspokojenia samego siebie – nie wiem, czy wy to

pamiętacie: raz pomnę dzień był upalny, N. Pan posłał mnie do téj nieszczęśliwój bogini, która się zwała Cosel; tam mnie utraktowano zdradzieckim sektem szumiącym. Smaczny był jak oto ten tokaj, ale pełen zdrady. Wyszędłszy w ulicę, poczułem wirowanie dokoła. O! źle, a trzeba było iść pisać depesze. Dwóch dworzan podało mi ręce, zdało mi się że lecę, że mam skrzydła; posadzili mnie u stołu, musieli mi pióro umoczone dać w rękę, papier położyć przedemną: król powiedział słów kilka i depesza urodziła się, jak mi mówiono, cudowna! Ale nazajutrz i po dziś dzień, zabij, nie wiem com pisał. Dosyć że było dobrze i król śmiejąc się, na pamiątkę tego aktu, dał mi pierścień z szafirem.

Z gąsiorka lało się a lało do kielicha, z kielicha przelewało do gardła. Radzca gładził się po piersiach i uśmiechał.

– Psia służba – odezwał się cicho – ale wino jakiegoby człowiek nie powąchał gdzieindziej.

Gąsiorek przy opowiadaniach i westchnieniach doszedł do końca. Ostatni kieliszek był nieco mętny, Brühl chciał go usunąć.

– Tyranie! – krzyknął radzca – co czynisz! Natura wydzieliła te części nie dla tego aby je wylano, lecz by ukryć na dnie prawdę winną: eliksir, sama treść i części pożywne.

Gdy Pauli sięgnął po kielich, Brühl z pod stołu dobył drugiego gąsiorka. Na widok jego radzca chciał wstać, lecz radość go przykuła do krzesła.

– Co to jest? – krzyknął. – Co ja widzę?

– Nic, nic – rzekł paż pocichu – jest to drugi tom dzieła, zawierający konkluzją jego i kwintessencję. Nieszczęściem, –

mówił paż wesoło – starając się o dzieło kompletne dla pana radzcy, który lubisz literaturę...

Pauli obie ręce skrzyżował na piersiach i głowę skłonił.

– Któżby takiej literatury nie lubił! – westchnął.

– Starając się o dzieło kompletne – kończył chłopak – nie mogłem dostać obu tomów jednego wydania. Ten tom drugi – rzekł, podnosząc z wolna flaszkę omszoną – jest starszej pierwotnej edycji: *editio princeps*⁷.

– Ach! – podsuwając kielich, zawołał Pauli – tego gotyku szacownego nalej mi jedną stronicę: nadużywać szanownej starożytności nie trzeba.

– Ale co po niém gdy zwietrzeje, i duch wieków z niego uleci!

– Prawda! stokroć prawda; ale depesze! depesze! – zawołał

Pauli, ruszając ramionami.

– Depesze dziś nie przyjdą, drogi popsute.

– A! gdyby się tam mosty połamały! – westchnął Pauli.

Nalano kieliszek, Pauli pił.

– To wino tylko sam król pije, gdy się czuje nie zdrów – szepnął Brühl.

– *Panaceum universale!*⁸ Żadne usta kobiety słodsze być nie mogą.

– O! o! – przerwał młodzieniec.

⁷ *editio princeps* (łac.) – dotyczy książek: pierwsze wydanie, w szczególności cennego tekstu; tu przenośnie: cenny, wiekowy trunek. [przypis edytorski]

⁸ *panaceum universale* (łac.) – uniwersalne panaceum; uniwersalny lek, skuteczny na wszystkie dolegliwości. [przypis edytorski]

– Dla waści – mówił radzca – to co innego, dla mnie one straciły już słodycz wszelką; ale wino! wino, to nektar, który do zgonu nie może postradać uroku swego.

Gdyby nie te depesze!

– A cóż? depesze! czyż jeszcze...

– Prawda! kat je bierz!

Radzca dopijał, ale tak jakoś szybko po sobie następujące libacye, widocznie go rozmarzać poczynały. Ociężał, w fotelu siadł, uśmiechał się, oczy mrużył.

– Teraz maleńka drzémka i...

– Ale butelkę dokończyć potrzeba! – nalegał paż.

– Zapewne, to obowiązek uczciwego człowieka, nie porywać się lub dokonać dzieła; prawda? – rzekł radzca – co rzeczą sumienia jest, winno sumiennie być dopełnione.

Dolawszy kieliszek ostatni, Brühl wysunął z za okna fajkę i worek z tytuniem.

– Radzco, a fajka?

– Aniele mój! – zawołał Pauli otwierając oczy – i o tém pamiętałeś. Ale nuż mnie to ziele upoi gorzej jeszcze. Co mówisz?

– Otrzeźwi! – przerwał paż podając fajkę.

– Jak się tu oprzeć pokusie! daj! daj! Co się ma stać niech się stanie.

Może pocztylion kark skręci i depesze nie nadejdą. Nie życzę mu złego, lecz gdyby go nadwichniął?

Poczęli się śmiać.

Radzca chciwie dym ciągnął.

– Dyable mocne *tobacco*⁹.

– Królewskie – rzekł paż.

– Ale bo i król mocniejszy odemnie, he?

Widocznie tytuniem upojony, już mruczał tylko stary, pociągnął jeszcze parę razy: fajka mu z rąk wysunęła się na ziemię, głowę na piersi spuścił i począł w lewo ją pochyliwszy, chrapać okrutnie. Przez półotwarte usta dobywał się dźwięk dziwny i niemły.

Brühl popatrzał, uśmiechnął się, cicho na palcach podszedł ku drzwiom i wysunął w korytarz; tu chwilę postawszy, pobiegł do przedpokoju króla.

Młody, strojny, wielkiego tonu chłopak, w paziowskim także ubraniu, z pańską minką, zatrzymał go wchodzącego.

Był to Antoni hr. Moszyński. Twarzyczka jego biała, włosy czarne, rysy nie piękne, ale wyraziste, oczy błyszczące ogniem wielkim, a nadewszystko postawa arystokratyczna i wymuszone nieco maniery, odznaczały go między innymi paziami do osoby króla przywiązanymi. Razem z Sułkowskim był długo przy królewiczu, czasowo teraz dostał się do Augusta II, który, jak mówiono, lubił jego zręczność, żywość i bystre pojęcie. Prorokowano mu naówczas świetną przyszłość.

– Brühl? – zapytał – gdzieś ty był?

Paż się nieco zawahał z odpowiedzią.

– W marszałkowskiej sali.

⁹ *tobacco* (hiszp.) – tytoń. [przypis edytorski]

– Na ciebie służba przypada.

– Wiem, alem się nie opóźnił.

Spojrzał na zegar stojący w kącie.

– Już myślałem – dodał śmiejąc się i z nogi na nogę przechylając Moszyński – że mi ciebie zastępować przyjdzie.

Przez twarz Brühla przeleciał jakby cień, ale natychmiast się wyjaśniła.

– Panie hrabio – rzekł łagodnie – wam faworytom pana wolno chybić godzinę i dać się zastąpić; mnie wysługującemu się i biednemu, byłoby to niedarowaném.

Skłonił się bardzo nisko.

– Zastępowałem nieraz drugich, ale mnie nikt.

– Chcesz powiedzieć że cię nikt zastąpić nie jest w stanie: – podchwycił Moszyński.

– O! panie hrabio, godziż się tak ze mnie biédnego prostaczka żartować? ja się tego uczę, w czém panowie jesteście mistrzami!

Skłonił się znowu.

Moszyński podał mu rękę.

– Z wami – rzekł – wojować na słówka niebezpiecznie, wolałbym na szpady.

Brühl skromną przywdział postawę.

– W niczem sobie żadnej nie przyznaję wyższości – dodał cicho.

– No, szczęśliwój służby! – zawołał Moszyński. – ot wasza godzina: do widzenia.

To mówiąc wyszedł z przedpokoju.

Brühl odetchnął. Zwolna skierował się ku oknu. Stał w nim i zdawał się obojętnie spoglądać w podwórca wyłożone kamiennymi posadzkami i wyglądające jak sale olbrzymie... Tuż pod nim kręcił się mnogi, zajęty i czynny dwór pański. Wojskowi w pysznych zbrojach i mundurach, szambelanowie w sukniach szytych od złota, kamerdynerowie i służba, nie zliczona czeladź pańska zwijała się z pośpiechem; kilka lektyk stało u wschodów, a żółto postrojeni tragarze czekali na swych panów; dalej powozy galowe i konie wierzchowe, niemieckie i polskie zaprzęgi, hajduki w ponsach, kozacy: wszystko to cicho dosyć sprawując się mieszało w jedną pstrą i malowniczą całość.

Szambelan wyszedł od króla.

– Niema kresów? – spytał Brühla.

– Dotąd nie przyszły.

– Jak skoro je przyniosą, przychodź waćpan z niemi. Radzca Pauli?

– Jest w sali marszałkowskiej.

– Dobrze, niech czeka.

Brühl się z lekka skłonił.

Pusto zaczynało się robić w pokoju i godzina blizka obiadu, rozpędzała ludzi.

Brühl, wyglądając oknem z jakąś niecierpliwością, dojrzał nareszcie wpadającego w podwórce na zziajanym koniu pocztyliona z trąbką na plecach, w butach ogromnych i torbą skórzaną na piersi.

W téjże chwili ruszył biegiem po wschodach i nim służba

zdążyła odebrać opieczętowane pliki, już on je pochwycił. Srebrny blat¹⁰ stał przygotowany w antykamerze, Brühl złożył na nim papiery i wszedł do króla.

August przechadzał się po pokoju z Hoymem. Zobaczywszy pazia, blat i papiery, wyciągnął rękę, żywo rozerwał pieczęcie. On i Hoym zbliżyli się do stołu i przeglądali przywiezione listy.

Brühl stał czekając.

– A! – zawołał August – żywo niech Pauli przychodzi!

Brühl nie ruszał się.

– Idź po radzcę Pauli – powtórzył król niecierpliwie.

Paż skłonił się i wybiegł, zajrzał do gabinetu. Pauli spał jak kamień. Powrócił co żywo do króla.

– Pauli! – zawołał August widząc go wchodzącego.

– N. Panie! – wyjąknął Brühl – Radzca Pauli.. radzca Pauli...

– Jest tu?

– Jest N. Panie.

– Czemuż nie przychodzi?

– Radzca Pauli – spuszczać oczy dodał paź – jest nieco niedysponowany.

– Gdyby był konającym to mi go tu przyprowadź – krzyknął król – niech obowiązek spełnia, potem skona kiedy chce.

Brühl wybiegł, znowu wpadł do gabinetu, popatrzał na śpiącego, uśmiechnął się i wrócił do króla. Augusta oczy pałały rosnącym gniewem, zaczynał blednąć, co było najgorszym znakiem; gdy się stawał biały, wówczas ludzie na widok jego

¹⁰ *blat* – dawniej: taca, płaski półmisek. [przypis edytorski]

drżeli.

Brühl niemy, wyprostowany u drzwi się zatrzymał.

– Pauli! – zawołał król tupiąc nogą.

– Radzca Pauli jest w tym stanie...

– Pijany? – podchwycił August – A, stary wieprz obrzydły!

Gdyby się choć na tych kilka godzin umiał powstrzymać od picia.

Zlejcie go wodą! zaprowadzić go pod fontannę, dać mu octu; niech doktor da mu lekarstwo, niech mi go na godzinę ocuci, a potem niech bydlę zdycha.

Mówiąc król nogą tupał.

Brühl wybiegł posłuszny raz jeszcze. Spróbował budzić radzcę, ale ten stał się nieruchomą kłodą: żaden lekarz oprócz czasu nie mógł go do przytomności przyprowadzić. Wolnym krokiem wracał myśląc do pokoju pańskiego, zdawał się walczyć ze sobą, wahać, obawiać i ważyć coś w duszy. Stanąwszy u drzwi nie potrafił klamki, aż westchnąwszy jakby pobożnie ku niebiosom.

Król w pośrodku gabinetu z papierami w ręku czekał, usta miał zaciśnięte i brwi namarszczone.

– Pauli!

– Niepodobieństwo go ocucić.

– Bodaj go paraliż naruszył!

Depesze. Kto mi depesze... słyszysz.

– N. Panie – schylając się wpół z rękami złożonemi na piersiach, odezwał się Brühl – N. Panie, wielkie jest zuchwalstwo moje, niemal zbrodnicze. Raczy mi je łaskawość królewska

przebaczyć: wiem że porywam się bezrozumnie, ale miłość moja i cześć dla W. K. Mości. Jedno słowo N. Panie skazówka... ja spróbuję ułożyć depeszę.

– Ty młokosie?

Brühl się zaczerwienił – N. Panie, ukarzesz mnie.

August popatrzał nań długo.

– Chodź – rzekł idąc ku oknu – oto list: przeczytaj go, daj odpowiedź odmówną; lecz niech za odmową czuć będzie, że nie jest stanowczą. Daj nadzieję odgadnąć a nie odśłoń jej wyraźnie. Rozumiesz? – Brühl skłonił się i chciał z listem wybiédz.

Srebrny stół stał przed kanapką.

– Gdzie? dokąd? – zawołał król – tu – wskazał ręką: tu siadaj i pisz zaraz.

Paź jeszcze raz uchylił głowę i przysiadł na brzeżku jedwabną materią w kwiaty wybitéj kanapki, ruchem ręki odrzucił mankietki, pochylił się nad papierem i pióro poczęło biec po nim z szybkością, która króla zastanowiła.

August II jak na ciekawe widowisko spoglądał z uwagą na ładnego chłopca, który przybrał poważną minę kanclerską i tak redagował depeszę jakby bilet do kochanki.

Myliłby się ktoby sądził że spełniając tak ważne i mogące na całą przyszłość jego wpłynąć zadanie, paź zapomniał o swéj postawie.

Siadł niby od niechcienia, jakby nie myśląc, a jednak ułożył zgrabne nóżki, nadał rękóm wdzięczne zgięcia, głowę pochylił umiejętnie. Zimna rozważa towarzyszyła mu w téj sprawie

napozór z gorączkowym dokonywanąj pośpiechem. Król go nie spuszczał z oka, zdał się to czuć. Nie zastanawiając się długo pisał jakby pod dyktowaniem gotowój myśli, nie przekreślił ni razu, nie stanął na chwilę. Pióro zatrzymało się gdy depeszy dokończył. Naówczas przebiegł ją jeszcze oczyma szybko i powstał wyprostowany.

Z widoczną ciekawością, gotów być pobłażliwym, król się nieco przysunął.

– Czytaj! – rzekł.

Brühl odkaszlnął, głos mu się trząsł nieco i był cichy. Któż odgadnie czy ten dowód trwogi nie był także rachubą? Król ośmielając go, dodał łagodnie:

– Zwolna, wyraźnie, głośno.

Począł więc czytać depeszę młody paź, a głos, zrazu drżący, stał się wkrótce metalicznie brzmiącym i donośnym. Na twarzy Augusta odmalowało się stopniowo zdumienie, radość, wesołość, podziw razem, i jakby niedowierzenie.

Gdy Brühl dokończył, nie śmiał podnieść oczów.

– Jeszcze raz, od początku – odezwał się król.

Tym razem Brühl głośniej jeszcze, śmielój czytał i dobitniej. Królewska twarz rozjaśniła się: uderzył w dłonie.

– Przewybornie! – zawołał – Pauliby nie potrafił lepiej ani tak nawet. Pisz na czysto.

Brühl z niskim ukłonem przedstawił swój arkusz, który był tak napisany, iż odrazu mógł być użytym.

August go po ramieniu uderzył.

– Jesteś od dziś moim sekretarzem do depeszy. Pauli, żeby mi się nie śmiał pokazywać na oczy. Niech go kaci porwią, niech się zapije i zdechnie.

Zadzwoił król: wszedł służbowy szambelan.

– Hrabio – rzekł, zwracając się do niego – niech Paulego zawiozą do domu; oznajmić mu proszę, gdy się wytrzeźwi, moje najwyższe nieukontentowanie. Nigdy mi się nie pokazywać na oczy!! Sekretarzem do depeszy, od dziś Brühl. Uwolnić go od służby paziowskiej, niech tylko mundur zatrzyma. Zobaczymy.

Szambelan z dala uśmiechnął się stojącemu skromnie na uboczu chłopcu.

– Wybawił mnie z ciężkiego kłopotu – mówił August. Znam Paulego, będzie do jutra leżał, jak kłoda, a depeszę trzeba wyprawić zaraz.

Poszedł król ją podpisać.

– Kopią spisać – dodał.

– Z pamięci ją do słowa napiszę – rzekł Brühl cicho.

– Otóż to mi sekretarz! – zawołał August. Proszę mu trzysta talarów kazać wyliczyć.

Zbliżającemu się dla podziękowania, król podał rękę do pocałowania: był to znak łaski niemały.

W chwilę potem nagotowany już kurier, zabrawszy opieczętowany list, biegł, trąbiąc przez most, galopem. Brühl pokornie wysunął się do przedpokoju. Tu już przez Szambelana Friesena, rozpovedziana historia depeszy i niespodzianej łaski,

jaka spotkała chłopaka, po którym niktby się był nie spodziewał tak nadzwyczajnej zdolności, powszechną budziła zazdrość i ciekawość. Gdy Brühl się ukazał, wszystkich oczy biegły za nim. Nie było znać na tak zaszczyconym łaską królewską, najmniejszej dumy, okrył nawet radość swą pokorą taką, jakby się wstydził tego, co dokonał.

Moszyński podbiegł ku niemu.

– Co słyszę? – zawołał – Brühl *amanuensem* N. Pana? Kiedyż? co? jak?

– A! dajcie mi ochłonać ze zdziwienia i przestachu – cicho odezwał się Brühl – jak się to stało? nie wiem. Opatrzność czuwała nademną, *un pauvre cadet de famille*¹¹. Miłość dla króla sprawiła cud... ja nie wiem. Olśniony jestem, nieprzytomny.

Popatrzył nań Moszyński.

– Jeśli tak pójdziesz dalej, wkrótce nas wszystkich wyprzedzisz. Zawczasu łasce się twój trzeba polecić.

– Hrabio, bądźże litościwym i nie szydź sobie z biédaka.

To mówiąc Brühl, jakby znużony i opadający na siłach, otarł pot z czoła i siadł, głowę zanurzywszy w dłoniach, na najbliższém krześle.

– Ktośby rzekł, patrząc nań – odezwał się Moszyński, – że go największe nieszczęście spotkało.

Brühl zatopiony w myślach, nie słyszał już tego. Po pokoju szeptali wszyscy, patrząc nań i nowo wchodzącym opowiadali historią szczęśliwego młodzieńca. Wieczorem obiegła po

¹¹ *un pauvre cadet de famille* (franc.) – biedny młodszy syn. [przypis edytorski]

mieście, a gdy Brühl ukazał się skromnie między paziami na operze, Sułkowski, który towarzyszył królewiczowi, przyszedł go pozdrowić i powinszować.

Brühl zdawał się do najwyższego stopnia rozczulonym, nie umiał znaleźć wyrazów na podziękowanie.

– Widzisz, Brühl – szepnął Sułkowski, poglądając nań z góry – ja ci wróżyłem zawsze, że się na tobie poznają; nie omyliłem się: orle oko naszego pana, umiało cię wyróżnić.

Zaczęto bić brawa tenorowi, który śpiewał Solimana; Sułkowski klasnął, ale zwracając się do przyjaciela rzekł: „Ja tobie biję brawo!!”

Z pokorą wielką paż się uklonił zarumieniony.

Po teatrze pozwolono mu zniknąć; miano mu to nawet za zasługę, że się nie szedł popisywać i chwalić szczęściem swoim. Towarzysze, którzy go w zamku w mieszkaniu jego szukali i tam go nie znaleźli; pokój był zamknięty, służący zapewniał ich, że oddawna wyszedł na miasto.

W istocie po operze, osłonięty płaszczem, przekradł się Brühl na zamkową ulicę, a z niej na wiodącą ku pałacowi na Taschenbergu, gdzie niegdyś jaśniała Cosel, a teraz panowała młodemu swojemu dworowi córka Cezarów Jozefina.

Ktoby go tu był spotkał po pod murami przesuwającego się ostrożnie, posądziłby pewnie, iż idzie u nóg jakiegoś uróżowanego bóstwa złożyć laury zdobyte. Było do tego wszelkie podobieństwo. Miał lat dwadzieścia kilka, twarz cherubinka, a kobiety popsute przez Augusta II, tak były zalotne. Widocznym

było, iż pilno się starał, aby go nie postrzeżono i nie poznano. Płaszczem miał zasłoniętą twarz, a ile razy usłyszał kroki, tulił się do murów i przyspieszał pochód. Już był prawie przed pałacem królewiczowskim, gdy do przytykającej doń kamienicy wszedł szybko. Spojrzał tylko wprzód na okna pierwszego piętra, w których się przez gęste zasłony świeciło. Pocichu wbiegł po znajomych znać wschodach i stanąwszy u drzwi zapukał do nich trzy razy.

Nie było na to odpowiedzi. Wyczekawszy jeszcze chwilę, puknął leciuchno w ten sam sposób.

Wewnątrz dały się słyszeć kroki powolne, drzwi uchylono, pokazała się w nich głowa starego człowieka z nisko postrzyżonym włosiem. Brühl wsunął się prędko.

Pokój, do którego wszedł, oświetlony jedną w rękach sługi stojącego u drzwi świecą, zastawiony był szafami, ponury i smutny. Stary na zapytanie niezrozumiałe, coś szepnął, ręką wskazując. Brühl zrzucił płaszcz i na palcach idąc, zbliżył się ku drzwiom, do których z lekka zapukał.

Głos dosyć żywy odpowiedział mu prędko – *Favorisca!*

Pokój, do którego wsunął się cicho młody paź, oświetlony był dwiema pod umbrellką na stoliku, pałacem się świecami. Obszerny był i dziwnie jakoś przystrojony.

Szafka z książkami napół otwarta, kilka stolików zarzuconych papierami; między oknami duży krucyfiks z figurą Zbawiciela: na kanapce, wśród sukni, w nieładzie rzucona gitara.

U stołu oparty jedną ręką, jakby tylko co wstał na powitanie

gościa, czekał nań niemłody człowiek, nieco przygarbiony, z twarzą żółtą, przeciągniętą, długą, z brodą wystającą, z oczyma czarnymi. Poznać w nim było łatwo Włocha po typie i kroju rysów. W ustach wązkich, bladych kryło się coś nieodgadnionego, ale twarz w ogóle żartobliwą raczej wyglądała, niż zagadkową. Było w niej coś razem dobrodusznego i ironicznego. Duży nos orli spadał mu, kryjąc niemal wierzchnią wargę.

Na krótko obciętych włosach miał czarną, jedwabną czapczkę; na sobie suknię ciemną i długą, która duchownego zdawała się oznaczać: na nogach czarne pończochy i trzewiki z wielkimi klamrami.

Zobaczywszy Brühla, otworzył ręce.

– A! to ty! moje dziecko. Jakże się cieszę: niech cię Bóg błogosławi!

Z wielką pokorą przysunął się młodzieniec do niego i schyliwszy się w rękę go pocałował.

Gospodarz siadł prędko, usuwając książki i suknie nagromadzone na kanapce, a blizkie krzesło wskazał Brühlowi, który, trzymając w rękę kapelusz, raczej się przysiadł, niż usiadł.

– *Ecco! ecco!*¹² – szepnął siedzący na kanapie – myślisz że mi nowinę przynosisz? Wiem ja już! wszystko wiem i cieszę się. Widzisz, Opatrzność nagradza, Bóg swoim wiernym pomaga.

Westchnął.

– Jemu też ja składam tylko dzięki – odezwał się Brühl cicho.

¹² *ecco* (wł.) – tutaj. [przypis edytorski]

– I pozostań wiernym wierze, ku której serce się twe łaską oświecone skłoniło, a zobaczysz.

Podniósł rękę w górę. – Pójdiesz wysoko! wysoko! Niewidzialne ręce dźwigać cię będą; ja ci to mówię: ja. Jam ubożuchny i małeńki, alem wielkiego Pana sługa.

Oczyma błyszczącemi zmierzył siedzącego skromnie pazia i uśmiechnął się, i jakby już pobożnego dopełniwszy obowiązku, dodał wesoło:

– Byłeś na operze? Jak śpiewała Celesta? Patrzył na nią król? był królewicz?

Posypały się gradem pytania.

Padre¹³ Guarini, tak się zwał ten którego Brühl odwiedzał, spowiednik królewicza, powiernik królowej, duchowny ojciec młodego dworu, zdawał się co najmniej tyle zajmować operą, ile nawracaniem grzesznika, którego miał przed sobą.

Pytał o tenora, o kapełę, o gości, a wreszcie, czy za kulisy paż nie chodził.

– Ja? – z pewnym zdziwieniem zawołał Brühl.

– Nic złego! nic złego nie myślę; dla muzyki, dla sztuki, dla tego żeby zobaczyć jak te anioły wydają się, gdy prostemi ludźmi być muszą. Celesta śpiewa jak anioł, ale brzydka jak szatan. Nazwali ją chyba dla głosu! Niéma obawy aby się w niej król zakochał.

I śmiać się począł Padre Guarini.

– A któż nad królem króluje? – zapytał. I nie czekając

¹³ *padre* (wł.) – dosł. ojciec; tu: określenie księdza. [przypis edytorski]

odpowiedzi, sam rzekł: pono jak w Polsce elekcyja dopiero ma nastąpić.

Śmiał się znowu stary.

– Powiedźże mi choć co nowego, oprócz tego żeś sekretarzem został.

– Chyba że żadne szczęście serca mojego i uczuć nie zmieni.

– Tak, tak, to ci radzę bądź dobrym, choć potajemnym katolikiem. Po naszym terażniejszym królu nie możemy ani wymagać, ani się spodziewać wielkiej gorliwości. Dobrze iż takim choć jest jakim się stał, ale młody będzie inny; święta nasza pani Józefa nie da mu zniść z drogi prawej. Pobożny jest, małżonek wierny, katolik gorliwy. Za jego panowania i nasze się począć powinno. Nie rozpaczamy, zjedliby nas protestanci gdyby mogli, ale twardzi jesteśmy i paszcza ich za mała... *chi va piano va sano... qui va sano, va lontano!*

Powtórzywszy kilka razy *lontano! lontano!* westchnął.

– Na pamiątkę tego dnia – dodał – chcę ci dać z błogosławieństwem coś, co ci szczęście przyniesie. Czekaj.

Padre Guarini wysunął szufladę i rękę w nią zanurzony dobył mały różaniec czarny z medalem i krzyżykiem.

– Ojciec Święty sam własną ręką go pobłogosławił, odpust do niego przywiązany wielki, ale go codzień odprawiać potrzeba.

Brühl niewyraźnie coś powiedziawszy na podziękowanie, w rękę pocałował i wstał.

Guarini pochylił mu się do ucha i coś szeptać zaczął, na co paż tylko potwierdzająco schyliwszy głowę kilka razy, znowu

rękę chudą ucałował i wysunął się pocichu. We drzwiach czekał nań stary ze świecą. Temu wsunąwszy talara, osłoniony znowu płaszczem spuścił się ze schodów. Doszedłszy do drzwi wyjrzał ostrożnie w ulicę, a nie widząc w niej nikogo, wybiegł prędko. O kilka kroków dopiero zatrzymał się zdając namyślać. Podbiegł i stanął i zawrócił się i znowu szedł i wrócił raz jeszcze, jakby niewiedząc co pocnie. Różaniec, który miał obwinięty około ręki schował spiesznie do bocznej kieszeni, a sam podniósłszy głowę, szukał znanego domu około kościoła św. Zofii.

Obejrzał się raz za siebie...

Drzwi kamienicy, do której dążył stały otworem. Na poręczy wschodów maleńka lampka przytwierdzona na słupku, zaledwie mrok pod sklepieniami nieco rozjaśniała. W obszernej sieni o gotyckich łukach cicho było i pusto. Na niskie pierwsze piętro wszedłszy Brühl zadzwonił.

Służąca wyszła mu otworzyć.

– Jest ksiądz pastor w domu? – zapytał.

– Jest i ma gości, z którymi się rozmową zabawia.

– Goście? – wahając się podchwycił Brühl, jakby go to odwnijścia zniechęciło. – Któż taki?

– Młodzieź z Lipska łakoma słowa Bożego i światła.

Brühl jeszcze stał w progu, gdy poważna postać średnich lat człowieka ukazała się ze drzwi pobliskich.

– Nie chcę być natrętnym – rzekł paż kłaniając się.

– Nigdy nim pan nie byłeś i nie jesteś – odparł suchym głosem, zimnym i wyraźnym gospodarz. – Na to ja teraz narażony nie

jestem, by mi się do drzwi ludzie cisnęli. Chodź pan, proszę. Wchodzi się w protestanckim kraju do duchownego pokryjomu, jako pierwsi chrześcianie do katakumb wchodzili. Chwała tym co mają odwagę próg nasz przestąpić.

To mówiąc wprowadził Brühla do obszernej izby skromnie przybranej, ale z kwiatami na oknach. Szpinecik otwarty stał przy ścianie. Nie było tu nikogo oprócz dwóch młodzieży, z których słuszniejszy wzrostem zdał się Brühlowi znajomym. Przypomnieć sobie tylko nie mógł gdzie i kiedy go widział. Pięknej postawy młodzian patrzył też z uwagą na gościa, a po chwili przystąpił doń.

– Jeśli się nie mylę – rzekł – drugi to raz spotykamy się w życiu. Winienem panu żem na drogę wyprowadzony nie popadł w ręce królewskich pacholców jak włóczęga.

– Hrabia Zinzendorf...

– Brat w Chrystusie – odparł młodzieniec – a chociażbyście byli katolikiem, arianinem, wiklefiścią czy kimkolwiek bądź, byleście w Zbawiciela wierzyli i ufali Mu, pozdrowię was zawsze tym wyrazem: brat w Chrystusie.

Gospodarz, który miał twarz surową i brwi ściągnięte dziwnie a zrosłe, co mu wyraz nadawało ostry, jęknął:

– Dajcie pokój marzeniom, hrabio, plewy od ziarna odlecieć powinny, choć na jednej wyrosły łodydze...

Brühl milczał.

– Cóż na dworze słyszać? – spytał gospodarz – myślę że nic innego jak z rana litanią a wieczorem operę; ale zmilczę. Siądnicie

mój gościu.

Posiadali wszyscy, Brühlowi widocznie przytomność obcych zamykała usta. Zinzendorf długo i z zajęciem mu się przypatrywał, niby w duszy jego czytał pragnąco, lecz te okna, któremi zajrzeć mógł do wnętrza, oczy piękne Brühla zamykały się przed nim: zdawał się unikać spojrzeń i lękać się ich przenikliwości.

– Prawdaż to że kościół katolicki budować myślą? – zapytał gospodarz.

– Nie słyszałem o tém, tylko jak o projekcie dalekim – odpowiedział Brühl – a wątpię bardzo ażeby król pan nasz, który tyle pozaczynał gmachów, mógł nam o nowym pomyśleć.

– Zgrozaby była! – wyjęknał pastor.

– Dlaczego? czcigodny panie – przerwał mu Zinzendorf. Zarzucamy im nietolerancję, a mielibyśmy się nią sami posługiwać. Niech się mnoży we wszelkich językach i na wszelki sposób chwala Zbawiciela, czyli ją katolicy śpiewać będą, czy my.

Brühl żywo skłonił głowę potakując, ale w chwili gdy to czynił, spotkał surowe wejrzenie pastora i ruch ten jakby nagle powściągniony, dwuznaczny się zmienił uśmiechem: rumieniec wystąpił mu na twarz.

– Hrabio – odezwał się pastor obracając się ku niemu – to są myśli młodzieńcze bardzo piękne w ustach waszych, ale w życiu nie możliwe. Na dwu ramionach płaszcza nosić nie można, ani dwóm Bogom służyć, ani dwu wiar kochać, boby się żadnej nie

miało, jak... jak to się dziś wielu i najwyżej położonym zdarza.

Westchnął pastor, zrozumieli wszyscy do kogo pił. Brühl udał że nieślyszy, żałował nawet może iż wszedł w towarzystwo tak drażliwemi zajmujące się zagadnieniami. Przeciwnie Zinzendorf zdawał się uszczęśliwiony i z poszanowaniem chwycił rękę pastora.

– Czcigodny panie – zawołał – a jakżebyśmy nawracali i prawdę krzewić mogli, gdybyśmy się nie zbliżyli i nie zbratali z innowiercami? Chrystus nie stronił od Faryzeuszów i niewiernych, a łagodnością i miłością ich nawracał.

– Młody jesteś i marzysz – westchnął pastor – hrabio, a gdy ci przyjdzie walczyć i z poezyi twych przejść do czynu...

– A! za tém gonię, tego pragnę – odezwał się młody entuzyasta, podnosząc rękę do góry – gdybym siebie tylko miłował poszedłbym Zbawiciela szukać na pustyni i w rozmyślaniu; ale kocham braci, kocham wszystkich i zbłąkanych nawet, dla tego rzucam się pośród tych fal, choćby mnie pożrzć miały.

Pastor, Brühl i młody towarzysz słuchali każdy z inném usposobieniem mówiącego. Pierwszy stał chmurny i rozdrażniony, drugi zafrasowany choć się uśmiechał, trzeci z uwielbieniem chwycił słowa.

– Myślę że ta gorącość wasza, miły panie – odezwał się nieco żartobliwie pastor – ostygnie na dworze.

– Na dworze? – zapytał Brühl cicho – na dworze hrabio, będziemy mieli szczęście posiadać go!

– A! nie, nie, nigdy w świecie – odstępując krok zawołał Zinzendorf! – ja na dworze? Żadna siła w świecie nie potrafi mnie tam zapędzić. Mój dwór to ubogie na duchu i na ciele dziatki Boże, moja przyszłość to zastosowanie nauki Chrystusa do życia, i wlanie miłości Zbawiciela w społeczność naszą strupieszającą.

Chrystus raz umarłych wskrzeszał, dwa razy umierających nikt nie potrafi do życia przywrócić, a takimi są ci, co na chrzcie życie otrzymali i dobrowolnie je zabili w sobie. Ja pójdę do tych w których żyje duch, aby go rozdmuchać i rozpłomienić; na dworze byłbym wyśmianym: tam spełnię do czego powołanym się czuję.

– Rodzina jednak wasza, panie hrabio – dodał pastor.

– Ojciec mój w niebiesiech – prędko dokończył Zinzendorf – temum winien posłuszeństwo.

Brühl po krótkiej chwili przekonał się, że tu nie miał co czynić dłużej. Zinzendorf ze swą mową dziwną napętniał go strachem; odwiódł na stronę pastora ku oknu i szybko rozmowę z nim cichą poprowadziwszy, pożegnał go uprzejmie, spiesząc z powrotem. Młodemu apostołowi skłonił się tylko z daleka, z prawdziwie dworską grzecznością, i zniknął. Czy u ojca Jezuity czy u pastora był szczerzym przyjacielem i gościem, o tém wyrokować nie umiemy i to pewna że obu odwiedzał gorliwie i o łaskę ich się starał, nadskakując więcej Guariniemu niż Knöflowi, choć publicznie ani ojciec Jezuita jego, ani on Włocha nie zdał się znać wcale.

W ulicy namyślił się Brühl znowu. Tuż był pałac królewicza. Przed bramą jego dwóch gwardzistów straż trzymało. Po chwili młody paź wsunął się w podwórze i na prawo pobiegł do oficyny. Otwarte jeszcze drzwi i oświecone okna dozwalały spróbować szczęścia na młodym dworze. Tu mieszkała wielka ochmistrzyni dworu królewiczowej, hrabina Kolowrath-Krakowska, osoba wielce poważna, lat średnich, ulubiona królewiczowej Józefie, a łaskawém spoglądająca okiem na młodego paza, który jój wszystkie plotki z zamku przynosił, za co wszelkiego rodzaju łakociami był karmiony.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.